



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

W świętojańską krótką noc,
Gdy cudownych potęg moc
Kwiat paproci budzi,
Anioł, co marzenia zbiera,
Tajemnice dusz przeziera,
Schodzi między ludzi.—
W mgle srebrzystej górą płynie,
Chce pozbiierać to—co ginie....

Ponad lasem, na łące,
Rozśpiewane, tańczące,
Dziewki palą sobótki.—
Niech się cieszą, bo młode...
Słońce pali urodę,
A czas nocy tej krótki.
Anioł płynie nad niemi,
Czasem skrzydłem tknie ziemi,
A gdzie dotknął—kwiat rośnie.
Niech go zerwie dziewczyna,
Jak w ogródku kalina,
Pokraśnieje ku wiosnie.—

W las gdzie czarne uroczyska,
Gdzie z pod gruzów, źródło tryska,
Gdzie gród niegdyś dumny lśnił,
Gdzie brzmiał surmy dźwięk bojowy
Idzie chłopiec—schylił głowy,
Szuka kwiatu świętych sił!

Anioł widzi go zwysoka,
Łza mu srebrna płynie z oka,
Spada jasnej kropli rosa.
Nie marzeniem—ale wiara
Nie cudami—lecz ofiarą
Gmachy z gruzów się podniosą.

Płynie dalej, lecz już smutny.
Wskrós go przejął żal okrutny,
Że nie wszystkich serc tęsknoty
Koją czary nocy letniej...
Im kto marzy górniej, świetniej,
Tem go silniej los przygniecie...
Płacze anioł, że na świecie
Tacy ludzie—to sieroty!

Lekko, cicho wdał przemyka
Ponad chatą pustelnika.
Starzec w kwiatu czar nie wierzył.
Może niegdyś, w życia wiosnie,
Szukał, biedny, gdzie on rośnie...
Dziś tu trupia głowa leży,
A ostatnie już marzenie:
Ciche śmierci utulenie.

Minał łąki, uroczyska,
Za klombami światło błyska,
Liście drzewin szemrzają zcicha;
W oknie stoi postać biała.
Łza jej w smutnych oczach pała,
Pierś, ściśnięta bólem, wzdycha.—
Anioł znów się począł smucić:
Czy kwiat rzucić... czy nie rzucić?
Lecz już niżej coś szybuje,
Jakieś światła opalowe

Na kobiety płyną głowę:
Może kwiatem się zatruje?
A może jej świat rozjaśni,
Czarodziejskie śnienie baśni?...

Nad kołyską dziecięcia
Matka czyni zaklęcia,
—Lulaj, lulaj, malenki!
Miej żywota dni jasne,
A pamiętaj, gdy zasną,
Rzewne moje piosenki...
Do kolebki, do białej,
Anioł rzucił kwiat cały,
Kwiat czarowny paproci.
Niech choć małej dziecinie,
Nim sen pierwszy przemienie,
Świat się cudem wyzłoci...

Świętojańska noc krótka,
Już dogasa sobótko,
Świt się przejrzał w łzach rosy;
Anioł w górę ucieka,
A tęsknoty człowieka
Lecą za nim w niebiosa.

Kruczyn.

KARTA Z PAMIĘTNIKA POETY.

(Dalszy ciąg).

Marzec.

Jest mi tak dobrze mam to zadowolenie, jakie mieć musi rolnik, który, zasiawszy dobre ziarno,

czeka niech ziemia, ciepło, słońce, deszcz, zrobią swoje. I we mnie wpadały złote zasiewy wrażeń i ze mną czas uczyni podług odwiecznego porządku natury człowieka. I ja kiedyś stanę nad łańcem kołyszących się myśli i w dzień zbioru powiążę je w snopy, zgromadzę, i będę miał zapas żywotny na długo i innym jeszcze, co będą głodni udzielię. Marzenia!

Od czasu do czasu ukazują nam się jakieś jasne, doskonale sfery, a potem nikną i zostaje nam tylko poczucie, jak być powinno. Dobre i to na tym smutnym świecie, gdzie marzenia są na to, aby się nie spełniały. Ja przecież patrzyłem teraz z przyszłości z nową ufnością, miałem przeczuć, i nie śpieszyłem się duszą naprzód; tylko z pogodnym umysłem wyczerpywałem każdą chwilę idącego dalej czasu.

Miałem teraz długie godziny zastanowienia. Gdzie ja idę przez to życie?—pytałem siebie. Czy moja droga jest dobrą? czy ja mam jaki wytknięty kierunek? czy ja mam cel? Zdawało mi się, że młodość może zrazu bezwiednie dążyć do dobrego celu samą świeżością i siłą naturalnych popędów, jeśli nie zostały skrzywione przedwcześnie, — dążyć póki tych celów nie pojmię dojrzałym umysłem. Gdzież ja doszedłem i czy ja cośkolwiek stałego już wiem? Pracowałem już dużo w życiu mojem, a zdaje mi się, że nie zrobiłem jeszcze nic. Czuję nieraz przed sobą wielką jakąś próżnię do zapełnienia i chciałbym się w nią rzucić i przerobić ją na coś widzialnego i dobrego. Czasem, gdy się wpatrzę w ideały ludzkości, w to, czego jej potrzeba, w tę drogę, którą ona się śpieszy i chce, aby wszyscy bez wyjątku, szli rączy, ile oddechu starczy, z nią razem, wtedy czuję, jak mało mogę, jak niewyrobioną mam jeszcze polotność ducha, jaką niewytrzymałość w wyższych regionach jego; wtedy pochylam czoło i czuję się jakby upokorzonym wobec podniosłego świata idei. Nade mną wielka przestrzeń połyskująca światłami, a ja zaledwie muskam spojrzeniem te wielkie ogniska tajemniczej przestrzeni...

O, ducha mego myślący atomie,
Co się unosisz wciąż i ciągle spadasz!
Ty wiecznie tonąc będziesz w tym ogromie,
Którego nigdy nie przejrzyś, nie zbadasz.

Jesteś iskierką tylko pożądaną,
Która ma skrzydła rwące się szalenie
Do źródła prawdy i do jej poznania;
Lecz między tobą a prawdą—przestrzenie...

Jesteś pod niebem tak drobną istotą,
Że żadna z wielkich gwiazd o tobie nie wie,
Wśród światów, co się palą luną złotą,
Najmniejszym jesteś ty—tłące żarzewie!

Uniż się, uniż, dumny, przed niemocą
Własnej istoty twojej, co niech słuca
Tajemnych szepców Stwórcy, które nocą
Jako pioruny biją w głębie ducha.

I musisz wielką ciszę stworzyć w sobie,
Aby usłyszeć grom boskiego słowa,
I dobrowolnie żyć w tej ciszy grobie,
Która zaparcie siebie w sobie chowa...

I zawsze, ducha czujący atomie,
Ty musisz wierzyć, aby nie rozpaczać,
I musisz kochać—aby móżdż przebaczać,
I mieć pokorę atomu w ogromie...

Może nie trzeba przymierzać wyników pracy jednostki, do tego obszaru zadośćuczynienia, jakiego wymaga wielka idea, a którego dopełnić mogą tylko miliony takich, jak ja, istot i wspólna ich praca? Atom musiałby zawsze tylko wątpić, gdyby mu przyszło brać do serca potrzeby ogromu; ale niech zapełni swoje miejsce, aby na zawołanie zawsze był gotów stać się iskrą ukrytą w krzemieniu, czekającą uderzeń, które ją

z kamiennego więzienia wywołają dla rozniecenia wielkich płomieni. Może nie tyle zaważy kiedyś wynik mej pracy, ile czas przepracowany pożytecznie. Dawniej ludzie daleko więcej pracowali wspólnie, potrzebowali się więcej jeden drugiego, byli zależniejszymi od siebie; dziś jednostce łatwiej być samotną, łatwiej przesunąć się przez Ludzkosć, która straciła wiele ze stanu skupienia, ale zyskała na rozprężliwości. Rozprężliwość dla ducha jest to jego wolność; może dążyć tam, gdzie chce, naginać się gdzie chce, rozprężyć się jak chce. Nad wiekiem naszym rozwinęła skrzydła wielka myśl duchowej wolności i rozpraszając iskry, rozbudzające w tysiącach poczucie indywidualnej swobody i niezależności, przygotowuje ogół do wyższych swych celów. Myślałem nad tem, com zrobić dla siebie, żeby się podnieść, żeby czuć się choć jedną iskierką palającą w wielkim ognisku myślących istot, i widziałem jasno, że samem uczuciem nie zastąpię silniejszych żywiołów ducha, których nie wyrobiłem w sobie dotychczas. Czuję pewną gorączkę, rozbiegając przeszłość swoją, bo nie mogłem tego przed sobą zataić, że będąc na tej ziemi samotnym, stworzyłem sobie, myślą przynajmniej, światy uczuć, w których żyłem długie chwile sam dla siebie, dogadzając swoim serdecznym i poetycznym porywom. Kochałem wszystko, co mnie otaczało, ale przeważnie dlatego, że mi to sprawiało radosne uniesienia, w których dusza moja gorąca znajdowała wyraz swych potrzeb przyrodzonych.

Gdyby to był jakiś zwyczajny, pozbawiony estetyczności obowiązek, byłbym go i tak spełniał, ale bez tego szczęścia. Byłaż więc ta miłość całego świata jakkolwiek zasługą? Czyż to jest enotą płomienia, że grzeje, że błyska? To tylko jego istota. Ach, jak dusza moja czasem płonęła, a ja miałem jakąś dziecinną dumę, że płonnie! Tak się może cieszy róża ze swej purpury, tak się pyszni orzeł szybując nad przepaściami i krzyżąc z góry — patrzcie! jam skrzydlaty, szybki, powietrzny!

A gdy tak rozmyślałem, duch mój zmęczony tem badaniem siebie samego, wylecieć pragnął poza obręb tych trudnych kolei wewnętrznego żywota, obowiązków i odpowiedzialności i dostać się do jakiejś bardzo cichej krainy, gdzieby z pochłanianej przeszłości i odczuwanych uniesień już nie trzeba zdawać bezustannego rachunku, tylko już żyć pogodnie, bezbrzeżnie, w zgodzie, z całą harmonią wszechistnienia. I wtedy słyszałem głos wołający we mnie: spoczynku! spoczynku!

Nie mogłem wyrwać się z ziemi, nie mogłem uciec od nużącego ruchu doczesności: szedłem więc w dziedzinę sztuki, pocieszając się, jak mogłem. Przechadzałem się wolno po wspaniałych salach galerii i czułem ulgę, zwracając się znów nazewnątrz.

Przedemną stała historia malarstwa. Muza kolorów opowiadała mi swoje dzieje. Widziałem ją zrodzoną pod włoskim niebem, w tej nowej Grecyi, ale już nie kamiennej, tylko w Grecyi kolorów. Koloryst był jej ojcem, matką złudzenie. Zasnęła miała ona zrazu na czole, ręce złożone, oczy spuszczone, nie ciekawe widoku świata; w starych kościołach, w starych pałacach, kryła się w cieniu, nieśmiała. To była pierwsza modlitwa tej sztuki, rzucona na złote tło wschodzącego dla niej słońca. Potem Madonna podniosła oczy ku niebu, uśmiech rozjaśnił jej usta, i na tle włoskiego błękitu powstawały łagodne widzenia Fra Angelica. Ale muza nie została długo w klasztornej celi. Czująca się piękną i chciała wyjść na świat. Rafael jej rzekł: „Chodź ze mną, całe niebo jest dla nas” — i stanęły na różowych obłoczkach nowe zjawiska form ziemskich, uduchowione imieniem „Marya”, a pod całą glorią niebios, stępowały idealne postacie ludzi, wznosiła się „Szkoła Ateńska” i piękność zasiadła w Watykańskiej Łoży. Nastąpił wieki gry kolorów, walki światła i cienia, a im dalej ku północy, ku Alpom, tem trzeźwiejsze natchnienia, tem mniej nieba, więcej ziemi. Sztuka jakby zstępowała z wyżyn ascetyzmu na obszar światowego zapału. Już w Weronie, Medyolanie,

Wenecyi, madonny mają wdzięk Julietty, Dezdemony, Beatryczy. Naraz sztuka przeskakuje Mont-Blanc, i z tamtej strony gór przywdziewa strojne axamity, zawiesza perły, otacza się blaskiem efekownego kolorytu i łódką pędzi po zielonym Renie. Tęcza i widzenia zostawiła za górami, przewoźnik jej ma na głowie rembrantowski kapelusz z pękiem piór, a w nocnym mroku połyska ognistemi oczyma. Od Düsseldorfu do morza daleka jej droga. Nabiera tu siły fizycznej, charakterystycznego wyrazu, plastycznej prawdy, energicznych, ludzkich cech, a potem smętnieje w nizinnych okolicach nadbrzeżnych, otacza się mglistymi krajobrazami, i o szarej godzinie, opiera zmęczoną głowę na piersiach Teniersa lub Van-der-Velda. Cała skala kolorów, jak tęcza, zakreśliła łuk malowniczy, opierając stopy w Morzu Śródziemnem z jednej, w Północnem z drugiej strony. W tym łuku odbiły się całe dzieje malarstwa.

Chodząc po komnatach galerii, doznajesz jakby nowego rodzaju wiosny. Tam za oknami chłodno i wietrzno, ale ja przez szklane sufity widziałem niebo, dokoła mnie płonęły barwy, pełno blasku, światła, odcieni kolorów, chociaż wszystko nieruchome, zaczarowane, jakby w chwilowy spoczynek; a gdy chwila czaru minie, aniołowie się ruszą i ulecą, madonny przemówią, dzieciątka boskie z florenckiej szkoły zabiorą się do swych jabłuszek, ptaszków, kwiatków, któremi artyści tej szkoły, z uczuciem ojcowskiej miłości, napelniają rączki małego „Salvatora Mundi”, i że wszystko to ożyje, i prawdą będzie. Głosu tylko brak; cisza, tajemnicza cisza, przewiewa po świetnych komnatach.

Czułem, jak kryształ nowej formy, w mej duszy stworzony wrażeniami rzeźby, teraz, pod działaniem tej błyszczącej krainy, ożywia się jej światłem. Mój wzrok wewnętrzny uczył się rozróżniania kolorów i próbował niemi barwić myśli; odbicia malowideł kształciły pojęcia moje o różnych stopniach malowniczości i objawiały mi swe tajemnicze kontrasty, o których dawniej pojęcia nie miałem. Często nie patrzyłem na treść obrazu, lecz starałem się zrozumieć harmonijne połączenia kolorów, często, jakby myślą tylko, dotykałem tej melodyjnej ich gry i czułem w sobie po takiej pracy pewien estetyczny postęp. Anioł poezyi mojej poruszył się przez sen, leżąc na swem marmurowym, rzeźbionem łożu. Blask pała mu na drgające powieki. Kiedyż otworzy znów oczy?

(Dalszy ciąg nastąpi).

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Radziejowski śmiała tą odpowiedzią zrazu trochę się uczuł zmieszany i byłby może wybuchnął nie szcędząc gospodyni, lecz go coś powstrzymało.

— Cóżem to ja tak złego powiedział? — zaczął śmiejąc się — dziękowałem, nic więcej, bo wiem, że mojej żonie widzenie się i rozmowa z królem miłszą jest nad inne, nawet, niż ze mną! Stara to przyjaźń, a my poddani j. król. moiści, powinniśmy szczęśliwymi się czuć, gdy którego z nas, czy żonka, czy córka wpadnie w oczy majestatowi. Przez to się wszystkiego dobrego dla domu spodziewać można.

Oburzona podkanclerzyna płakała, na co mąż bynajmniej nie zważał, tem weselszym się okazując. Sapieżyna, nie zważając na gościa, odwróciła się od Radziejowskiego, ujęła pod rękę

podkanclerzynę i nie żegnając go, wyszła z nią do drugiego pokoju, drzwi zamykając za sobą.

Podkanclerzy natychmiast kapelusz włożył na głowę i w boki się ująwszy hałaśliwie wyszedł na ganek, rozkazując sobie podać konia, który czekał na niego, wraz ze służbą.

Długiego czasu potrzeba było, wody i larendogry, nim podkanclerzyna wzruszona, przyszła do siebie.

— Nie masz co tak bardzo zważać na niego — pocieszała ją Sapieżyna — niech sobie plecie co chce, nie wyrzuca ci sumienie nic, króla sobie tem naraził, bo go szpiegował; zresztą nic się nie stało.

Radziejowska nierychło potem do domu odjechała.

Podkanclerzy wprost ztąd udał się do królowej, ale tu zastał tak liczne towarzystwo, że przystąpić do niej nie mógł.

Nieznane panie, które tu z mężami przybyły, przychodziły z kolei pokłonić się pani swej, aby mieć potem wspomnienie, że ją widziały, choć niewiele z nich rozmówić się z nią mogło, bo nauka języka francuzkiego nie była jeszcze rozpowszechnioną, z wyjątkiem najarystokratyczniejszych domów, a między starszemi paniami łatwiej było można znaleźć taką, co po łacinie się rozmówić umiała, niż po francuzku; królowa zaś, choć po polsku rozumiała trochę, mówiła tym językiem źle i niechętnie.

Dosyć było niektórym z pań być przypuszczonemi do ucałowania ręki i do widzenia oblicza.

Ichmościów też duchownych, świeckich i wojskowych na pokojach Maryi Ludwiki nie zbywało nigdy, cisnęli się wszyscy, jako do dystrybutorki łask i istotnie królowej. Wiedziano, że przez nią i do króla trafić było najbezpieczniej a najłatwiej.

Na przyjęcie też w mieście i przez ziemian skarżyć się nie mogła Marya Ludwika. Miasto po naradach i zasięgniętych wiadomościach, wystąpiło z podarkiem przystojnym.

Nie mogło wprawdzie, jak Gdańsk, ofiarować kilku tysięcy pięknych, umyślnie odbitych monet, ale naczynia srebrne pozłociste, przydały się też skarbcowi królowej jmości.

Co dzień prawie zabawiano ją ogniami sztucznymi, które z Warszawy sprowadzony kunsztmistrz wyprawiał. Czas schodził dosyć przyjemnie.

Podkanclerzy pod pozorem spraw jakichś pozostał na pokojach, aż się wszyscy oddalili. Szło mu oto, ażeby królową zawiadomił o szczęśliwych swych łowach. Wiedział, że bądźco bądź, zawsze ją to cokolwiek zniechęci i odstraszy od króla.

Obrócił w żartobliwy sposób swoje oskarżenie.

— Gonilem dziś za królem jmością w pole — odezwał się — lustrował pułki, alem się przypóźnił, a król pośpieszył na inną lustrację.

Rozśmiał się; Marya Ludwika ciekawie się zwróciła ku niemu.

— Pojechał wczasy swe dawne znajomości odwiedzać — ciągnął dalej Radziejowski. — Znalazłem go, jakimś instynktem u Sapieżyny, ale on tam nie jej szukał...

Zatrzymał się nieco. Królowa słuchała ciekawie.

— Znajdowała się tam żona moja — mówił dalej Radziejowski. — Wczoraj razem byli u w. król. mości, gdzie król się z żoną moją zmówić musiał, gdzie się spotkać mogą bezpieczniej na poufałą rozmowę, to jest na to, aby się ona przeciwko mojej tyranii skarżyła. Jakoż przydybałem ich oboje, samych, bo Sapieżyna nie chciała snać czułym zwierzeniom przeszkadzać...

Począł śmiać się podkanclerzy, chociaż widział, jak surowo zmarszczyła się królowa i usta zacięła.

Nie wdała się jednak ani w rozpytywania, ani w dłuższą o tem rozmowę, zwróciła się ku czemu innemu.

Podkanclerzyna przez cały ten dzień pozostała u siebie, sposobiąc się do tego, co ją od męża czekało wieczorem.

Tymczasem Radziejowski, który z Dębickim miał do czynienia wiele, powrócił tak późno w noc, iż żona go już nie widziała.

Następnego zaś dnia rano przywitał ją wcale już ani napomykając o spotkaniu u Sapieżyny, i nie czyniąc wymówek, ani szczydząc i doskwierając, czego się spodziewała. Czy to wypłynęło z rachuby, czy z lekceważenia, poznać nie mogła podkanclerzyna, lecz była mężowi nieledwie wdzięczną, że ją w pokoju pozostawił.

Wypadek ten, zamiast pogorszyć stosunki pomiędzy małżeństwem, prawie, przeciwnie, uczynił je znośniejszemi; podkanclerzyna oddychała swobodniej, Radziejowski zaś tak się zdawał jakiemś ważnemi sprawami ciągle zajętym niezmiernie, iż na pozór żonę zaniedbywał. Wszystko to u niego tak było umiejętnie ułożone, że chodów jego trudno się było dobać.

Mniej nawet w Lublinie królowi samemu prezencją swą się naprzykrzał, gdyż w towarzystwie Dębickiego obchodził różne kółka wojskowe i ziemian, siejąc tam potrzebne na przyszłość ziarna... które później wschodzące pielegnować miano.

Koniec tomu drugiego.

Tom III-ci (ostatni)

I.

Codziennie prawie przynoszono języka, a wiadomości te, których król był żądnym, niecierpliwily go coraz mocniej.

Rad chciał już ciągnąć dalej ku Konstantynowu, ale pułki powoli się jeszcze ściągaly, a skargi dochodzące zewsząd przekonywały, że żołnierze swawolny, po drodze się łupieżstwem zabawiali, wcale nie śpiesząc do obozu.

Niekiedy od Kozactwa zalatywało coś takiego, co zabołec musiało, — naprzykład gdy hanowi tatarskiemu kładziono w usta te słowa, że mu więcej szło o przyjaźń jednego prostego Kozaka z pod Chmiela, niż o zgodę z Królem Polskim... Przeprowadzono tu pochwytywanie jeńców z luźnego Kozactwa i z Tatarów, co się zapędziwszy zadaleko, w ręce oddziałów polskich powpadali. Ci prawie zgodnie powtarzali, że Chmiel siły swe podzielił, że szedł przeciwko królowi i że Orda z ogromnemi tłumami ciągnęła za nim znowu.

Tymczasem wojska powolniej daleko ściągaly się niżby król życzył, który z każdym dniem więcej był tem podrażniony.

Pobył też w Lublinie, w tem towarzystwie królowej i pań, które się do niej i koło niej skupiały, wcale mu nie smakował. Nie śmiał się z tem oświadczyć, lecz ze wszystkiego się to okazywało. Królowa zaś, choć ją Kozactwem zastraszano, które się przybliżało i zuchwale wtargnąć mogło aż nad brzegi Bugu, — nie miała ochoty powracać do Warszawy, chętnie-by była towarzyszyła mężowi, czując mu się w chwilach stanowczych potrzebną, widząc już intrygi, jakie się około niego zasnawać zaczynały.

Radziejowski dotąd grał przy niej rolę przyjaciela, który bolał nad tem, iż *nicudolny* król sam miał pozostać — królowej, która w początkach przeciwko insynuacyom tym o mężu nie protestowała — z trudnością teraz przychodziło go bronić. Milczała, lecz przyszłe losy wyprawy podjętej z takim wysiłkiem, przejmowała ją trwogą. Przeciwnie, Jan Kazimierz był najlepszej myśli i nadziei. Pobożny i wierzący w opiekę niebios, cieszył się cudownym obrazem N. Panny Chełmskiej, którą wojsko miało za opiekunkę pozyskać.

W Lublinie Janowi Kazimierzowi coraz jakoś robiło się duszniej; zdawało mu się, że gdy wyruszy sam z głównymi siłami, które się już tu zgromadziły, opóźnione też oddziały pośpieszą ku niemu. Nalegając codziennie na wyruszenie z Lublina, w końcu król z dowódcami dzień naznaczył, a że od Kozactwa coraz świeższe nalaatywały wiadomości, iż się zbliżało — zdawało się, iż Marya Luowika wyrzeczce się dalszej podróży. Królowa, dotąd milcząca, oświadczyła w ostatniej chwili, że dopóki tylko będzie można, towarzyszyć chce mężowi i trudy jego podzielać.

Jan Kazimierz, jakkolwiek mu to może nie zbyt dogadzało, musiał dziękować.

Radziejowski, który i tu i tam podsłuchiwał i podszeptował — uśmiechał się. Oświadczył zarazem żonie, iż bezpiecznie mogła też z nim pozostać. To „z nim“ dwuznaczne, wyrażało zarazem i króla. Podkanclerzyna, pozorem zgody ukolysana, nie sprzeciwiała się.

Uroczyste było, ale niepokoju pełne, ruszenie z Lublina, pożegnania, błogosławieństwa. Gdy wiele osób ztąd powracało lub też się zatrzymywało, inne, przykładem królowej zachęczone, w ostatniej godzinie przeprowadzać się decydowały.

Radziejowską mąż zabierał tem pewniej z sobą, iż prawdopodobnie ku Sokalowi i Bugowi ciągnąć miano, a w pobliżu nad Bugiem był jego Kryłów, miejscina po pierwszej żonie odziedziczona. Mogła więc, jak zapowiadał podkanclerzy, Jejmość spocząć w starym dworze w Kryłowie, jeśliby w Sokalu i przy obozie nie dogodnie jej było.

Wojsko z królem, który inaczej jak konno na czele swych chorągwi jechać nie chciał — ciągnęło dosyć powolnie na Uchanie ku Krasnemustawowi. W pochodzie wszyscy się przekonać mogli, jak te tabory ogromne, któremi wojsko było przeciążone, nieslychanie ruchy jego utrudniały. Wozy, kolebki, ludzie i konie króla i panów, daleko więcej miejsca zabierały, niż sam żołnierz, a ten musiał przed niemi ustępować. Niezliczona ęma ciurów, czeladzi, sług wszelkiego rodzaju, jechała, szła, wlokła się, otaczała te tabory. Wśród natłoku nie było prawie godziny, w którejby nie powstała waśń, nie przychodziło do pięści, kijów i szabel. Za sługami ujmowali się panowie, starszyzna musiała biedz rozrywać i godzić.

Niekiedy dochodziło to aż do króla, który i sądy wojenne i nadzór musiał postanowić surowy... co niewiele pomogło.

Królowa ze swym fraucymerem, dosyć licznym, z przestrasonemi kobietami, które ciągle Kozakami i Tatarami na żarty prześladowano — choć sama nieulekniona dotąd, zaledwie mogła w służbie utrzymać ład jakikolwiek. Przybiegano do niej ciągle z popłochem, a ten się jeszcze powiększył, gdy śmielsi przodownicy poczęli do króla jeńców chwytywać przyprowadzać.

Widok tych twarzy dzikich, z wyrazem zwierzęcym... kobiety wprawiał w niewypowiedzianą trwogę. Wybiegały się im przypatrywać — powracały blade i drżące.

Zpowodu kolebek i wozów Maryi Ludwiki, czasem dla jej ciekawości i fantazyi zatrzymywał się musiano, i zmuszano też króla zwracać się, czekać, podjeżdżać do kolebki żony — co go niecierpliwilo.

Nie mówił jeszcze nic, lecz jawnem się stawało, że dalej, dalej pochod podobny był niemożliwym i niebezpiecznym.

W Uchaniu, wieczorem, Jan Kazimierz sam na sam się znalazłszy z żoną, miał naostatek odwagę wnieść, że jej — dla własnego bezpieczeństwa, koniecznie powracać należało.

Marya Ludwika obawą-by się do tego skłonić nie dała pewnie — ale król dodawał, że na Prymasa zdane były sprawy wszystkie, i że ona mu w pomoc radą i bliższą znajomością rzeczy przyjsć była powinna.

Trafiało to do jej przekonania.

Uśmiechało się zarówno spragnionej zajęcia i czynnego życia — zastępowanie króla w stolicy, jak towarzyszenie mu w obozie. Wybór z dwójga był trudnym.

Właśnie w tej chwili wahania się i wątpienia zjawil się czuwający, a raczej czyhający na nie Radziejowski. Wszystko to on przewidywał wawczasu i chciał z tego korzystać.

Dotąd podróży królowej nie był przeciwnym — dalej ona mu krzyżowała jego plany przewrotne. Szło mu o to, aby ją z mężem rozdwoić i poróżnić — i zając potem stanowisko pośrednika, bez któregoby się oboje obejść nie mogli.

Marya Ludwika, dotąd niepodejrzewająca tak głęboko sięgającej intrygi, chociaż niezmierną ambicyą Radziejowskiego znała — naradzała się z nim poufnie.

— Jest-że w istocie jakie dla nas niebezpieczeństwo? — zapytała go — albo w ten sposób grząc niem, pozbyć się nas tylko chcecie?

— Podkanclerzy nastroił powagę wielką.

— W tym momencie—odparł—niebezpieczeństwa niema jeszcze, ale że ono nagle i niespodzianie zjawić się może—to niestety—pewna... Kozactwo jest zuchwałe; jego sposób wojowania na takich napadach zuchwałych zależy, których przewidzieć niepodobna, a gotowym być na nie zawsze potrzeba.

Z pewnością N. Pani spokojniej i lepiej byłoby w Warszawie, dokąd ją i czuwanie nad sprawami Rzeczypospolitej powołuje.

— Tak-bym chciała towarzyszyć mężowi—westchnęła królowa.

— I to nie ulega wątpliwości, począł Radziejowski — że przytomność W. Król. Mości tutaj wielce jest pożądaną. Król sam sobie zostawiony, uleść może wpływom różnym, słuchać rad niezawsze najlepszych. Bolesnie to powiedzieć, ale N. Pan w sobie nie znajduje siły do pokierowania wyprawą, a gdy codzień kto inny ucho jego pozyszcze, wynikną ztąd sprzeczności targania, które wszystko zepsuć mogą.

Mnie król z pewnością słuchać nie zechce.. a inni...

Podkanclerzy poruszył ramionami i zamilkł.

— Widzicie więc—dodała królowa, że wybór dla mnie trudny. Pozostać czy wracać? ma równe niedogodności.

— W. Król. Mość, gdyby powrót się stał koniecznym, co nastąpić musi—wtrącił Radziejowski — zechcesz wrazić to w umysł króla, że ja jestem najwierniejszym sługą jego, że mam dosyć odwagi i wytrwałości, aby co potrzeba i z dowódcami i ze szlachtą doprowadzić do końca; ale król się powinien pozbyć tego wstępu i nie ufności, jaki ma ku mnie, a które, zdaje mi się—winien wpływowi żony mojej. Staram się już kwoli publicznej sprawie, pojednać z nią... jesteśmy dosyć dobrze... na wiele rzeczy zamykam oczy...

Królowa przechadzała się zamyślona.

— Sądzicie więc, że dalej towarzyszyć królowi...—spytała.

— Będzie niepodobniestwem—dokończył Radziejowski.—Z tą myślą się zawczasu owoić należy... ale ja pozostaję. W. Król. Mość mieć będziesz najwierniejsze, codzienne sprawozdanie z tego, co się tu u nas dzieć będzie.

— Zaczekam jeszcze, aż mnie konieczność zmusi obóz opuścić—westchnęła.—Widzę to, że i w Warszawie byłabym potrzebną.. a tu... się tak obawiam.

— Ja pozostaję na straży—żywo począł podkanclerzy—będę donosił i przestrzegał o wszystkim. W potrzebie potrafię powstrzymać krok, któryby się groźnym wydawał, król nie słucha mnie, ale ja znajduję środki wymożenia na nim... zwłoki przynajmniej. W. Król. Mość listami swemi będziesz mnie posiłkowała.

Tego wieczora więc już Marya Ludwika na wpół była przekonaną, że odjechać powinna. Zapytała od niechcienia podkanclerzego, co z żoną myśli uczynić.

— Posunąwszy się ku Sokalowi, nad Bug, gdzie leży mój Kryłów — rzekł podkanclerzy—bardzo mi będzie łatwo ją odwieść tam, pozostać, a z Kryłowa zarządzić podróż do Warszawy. W. Król. Mość nie chce obciążać jej towarzystwem i powiększać i tak już dosyć gromadnego taboru.

Królowa nic nie zdawała się mieć przeciwko urzędzeniu takiemu, bo, nie lubiąc podkanclerzy, wolała nie mieć jej z sobą.

Radziejowski w ten sposób z jednej strony przygotował Maryę Ludwikę, wsunął się do Króla, aby u niego tem się pochwalić—wiedział, że wiadomość będzie dobrze przyjętą.

Chociaż król, jak zwykle, nie miał ochoty do rozmowy z nim, podkanclerzy się narzucił.

— N. Pani—szepnął tajemniczo — starałem się skłonić królową, aby powracała do Warszawy. Im dalej się posuwamy, tem przytomność jej w obozie ruchu nam utrudnia.

Jan Kazimierz odwrócił się ku niemu, ale nie przemówił jeszcze.

— Zdaje się, że N. Pani sama zaczyna to widzieć—iż się narażać nie powinna.

Zamrzał coś król.

— W. Król. Mość nalegaj tylko otwarcie. Idzie o bezpieczeństwo osoby, o niewczasy i niewygody, na które się narażać w tym stanie zdrowia nie powinna. Nawet doktor być może na świadectwo pozwany...

Królowa się waha, przez troskliwość o osobę W. Król. Mości—lecz sądzę, że się da skłonić.

Nie odebrawszy odpowiedzi, Radziejowski do rzucił po chwili:

— Ja z moją żoną muszę pozostać.. najmniej do Sokala. Niedaleko ma mój Kryłów, gdzie się zawsze schronić będzie mogła. Dwór wprawdzie stary i opuszczony, ale kazałem go oczyścić, a i to wiosna się zbliża... nie potrzeba więcej nad dach i ściany...

Słuchał król napozór nie okazując, aby go to wielce obchodzić mogło, ale w duszy dziwił się potrosze temu, iż podkanclerzy żonę chciał dłużej zatrzymać, odprawiając królową. Byłoby dla niego niezrozumiałem.

Wśród tych rozmyślań i napastliwych podkanclerzego rad i uwag, które króla zarzucał, oznajmiono, że... przybyli dwaj, na wycieczkę dalszą z oddziałem wyprawieni, Ichmość panowie Joachim Łącki i Kurowski, którym się powiodło pod Koczycami z Ordą się ucierając, pochwyć Neczaj Murzę tatarskiego.

Na tego czarnego olbrzyma, gdyż Murza był nadzwyczajnego wzrostu, co u Tatarów rzecz rzadka, wpadłszy naprzód Łącki, szczęśliwie mu z rąk szablę wytrącił i chciał go z konia ściągnąć, ale Murza silniejszy, towarzysza pochwytywszy z nim razem, sobą go cisnąc, padł w błoto. Kto wie jakby się była walka ta skończyła, gdyby nie przypadł Kurowski, który ratując Łąckiego, Murzę obuchem w łeb uderzył raz i drugi poprawiając, tak, że w końcu Tatarzyn okrwawiony przytomność stracił, a nasi go związali i w niewolę wzięwszy uprowadzili.

Zwadzili się potem o pancierz bardzo misterny i kosztowny, który Murza miał na sobie, i razem z jeńcem przybyli do króla na sąd.

Ponieważ ciemno już było, gdy z nim przyszli a Jan Kazimierz widzieć chciał tego olbrzyma, bo mu go opisywano już jako dziką bestyą osobliwą, zapalono pochodnie przed dworem i zbiegło się mnóstwo ludzi na oglądanie Murzy.

Przywleczono go na łykach, opierającego się i tarzającego, mimo, że głowę miał pobitą i pociętą straszliwie, a krew na niej ledwie pozasychała. Wyszedł zaraz król, ogromne kolo się zgromadziło, a Łącki z Kurowskim opowiadać zaczęli, jak go zmogli. Przyczem sprawę swoją wytoczyli, o ów pancierz złożony i wielce kunsztowny, który też przyniesiono.

Nim Jan Kazimierz o nim zawyrokował, ktoś z tłumu zawołał:

— Co się tam o łupinę tę wadzić macie? a nie przystałoby jej, jako pierwszy łup złożyć u stóp j. król. mości?

Oczywista rzecz, że Łącki i Kurowski nie mieli słowa do powiedzenia przeciwko temu, ale się król okrutnie zachnął.

— Ale dajcież mi pokój! ja go nie chcę i nie przyjmuję. Kurowskiemu go przysądzam, bo bez jego pomocy Łącki-by nietylko pancierza nie widział, ale czarna ta bestya byłaby go zadławiła.

Łaskiemu zaś moja rzecz nagrodzić jego męstwo, i o nim ja niezapomnę, nie straci na tem.

Łaski się tedy schylił do kolan królowi, a Kurowski zaraz pancierz ściągnął, który wszyscy biegli oglądali, gdzie znajdujący się wypadkiem Otwinowski dostrzegł przy świetle pochodni, iż na kółkach jego były arabskie napisy, które miał później odczytać.

Murza ten, którego, jak niedźwiedzia w łozysku pochwyconego oglądano ciekawie, istotnie był niezwyčajnej urody a pewnie i siły.

Skóra na nim niemal tak czarna, jak na murzynie, spalona, jeszcze połysk jego oczów i zębów, któremi podczas zgrzytał, straszniejszemi czyniła.

Potrzebnie czy nie, dano znać o tym potworze królowej; dowiedział się fraucymer: więc co żyło, biegło. Dodawszy noc, pochodnie całe to zbiegowisko z Murzą związanym pośrodku taki

obraz stanowiło, że chyba drugiego mu podobnego nie łatwo było ujrzyć. Królowa ukazała się na ganku przy mężu, i przypatrywała się mężnie dosyć, nie okazując, aby ją ta bestya czarna nastraszyła ale spytała wszakże w pobliżu stojącego Kłobukowskiego, czyby wistocie Tatarowie wszyscy tacy byli.

Tedy Radziejowski przystąpił przypominając N. Pani, że w jego pałacu, dawniej Kazanowskiego, kilkudziesięciu jeńców tatarskich nieraz widywała. Lud był statyry nie tak rozrosły, choć krzepki, barczysty i silny.

— Murza ten — dodał Kłobukowski—na oko tylko straszny, a wielu małych nogajców gorsi byli może nad niego w boju.

Gdy się tak tu *monstra* przeciągała, Murza, który stał na postronkach trzymany, nie zważając na nikogo, na ziemię padł i położył się, aż go potem zrywać z niej i do odejścia musiano gwałtem napędzić.

Król musiał rad być Łaskiego zdobywcy, bo Murza niewiasty obozowe przejął trwogą, a może i samej królowej dał do myślenia, że inne były te wojny we Francji, na które się do obozów narażały panie, a z dziećmi taką, na pół ze zwierzęty, narażać się nie przystało niewiastom. Wszelki żołdak, gdy się w walce upoi krwią i ową gorączką pobojojwiska, dzikim się stać może i szalonym—cóż dopiero takie stworzenie, które prawdziwego Boga nie zna?

Na młyn to więc Radziejowskiego woda płynęła, a i król wreszcie był rad.

Jednakże z Uchania się zawrócił nie chciała królowa i dalej jechała razem z mężem do Krasnegostawu. Tu nowego języka dostał Jan Kazimierz, który dozwalał bardzo rychło spotkania z Kozactwem i Ordą się spodziewać. Trochę to nawet popłochu zbudziło z tego powodu iż wszystkie się siły nie ściągnęły jeszcze.

Zatem i królowa oświadczyła, że gotową jest zawrócić ztąd do stolicy, ażeby nie być królowi na zawadzie w ruchach, jakie będzie musiał obmyśleć. W sam czas przychodziła ta rezolucya Maryi Ludwiki, gdyż w Krasnymstawie godziny prawie nie było bez nowego języka.

Nie wszystkie one na wiarę zasługiwały, gdyż ludzką mowę zawsze trzeba ważyć ustami, z której ona wychodzi, jak wodę źródłem, z jakiego płynie. I tu też wieści były najsprzeczniejsze, bo jedne nieprzyjaciela bliżej, inne dalej wskazywały, ale o tyle godziły się wszystkie, że zbliżka się znajdował, a wcale pospolitem ruszeniem strwożonym nie był.

Xięzki naówczas, słuchając, co powiadano, jakoby Chmiel miał Hanowi prawić, śmiejąc się mruzczał:

— Ten zdrajca Kozak lepiej nas pono zna, niż my sami siebie, bo nam prorokuje czego ja—niestety, nieraz doświadczyłem. Nie boi się pospolitego ruszenia, wiedząc dobrze, iż ono długo nie postoi, rzuci się mężnie, zetrze ochoczo, ale jak mu w polu na słońce przyjdzie cierpliwie dwie niedziele trwać, rokosz podniesie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań 9 Czerwca 1886 r.

Przyjęcie i powitanie w grodzie naszym nowego arcypasterza, który z woli Namiestnika Chrystusowego odtąd ma stanąć na czele naszych dyecezyi, od kilku już tygodni było przedmiotem obywatelskich narad i zabiegów. Charakter tej uroczystości, ton jej właściwy a konieczny, nie był łatwym do uchwycenia.

Zaprawione w twardej szkole do karnego, godnego i pełnego taktu postępowania społeczeństwo nasze wywiązało się, jak przynależy, z trudnego zadania, i podziwiać, zaiste, przychodziło właściwość niezamąconą nastroju dni co dopiero ubiegłych. Obchód konsekuracyjny dnia 30 Maja

w Katedrze Wrocławskiej odbyły, kamertonową, że tak powiemy—dał nutę następnym uroczystościom. Już poprzednio nieco, powołanie na najwyższe dyecezyjne godności kapłanów posiadających ogólny szacunek i zaufanie ziomków, dobrze usposobiło serca ku nowemu pasterzowi. Deputacya ze wszystkich klas naszej społeczności złożona stanęła w Wrocławiu, aby powitać i otoczyć ks. Dindera w dniu tak solennym.

Książę Ferdynand Radziwiłł i p. Kazimierz Chłapowski przodowali temu gronu wysłańców wielkopolskich, wśród których widniała sympatyczna postać zasłużonego patrona kółek rolniczych, pana Maxymiliana Jackowskiego, oraz reprezentanta przemysłu poznańskiego znanego pana Zeylanda i innych jeszcze obywateli ze wsi i miasta, do których się przyłączyła i gromadka kmiotków naszych. P. Chłapowski przemówił w imieniu deputacyi, nie tając, że dolegliwości dzisiejsze są niezawodnie najcięższymi, na jakie kiedykolwiek byliśmy wystawieni, ale że choć podstępnie próbowano nas zachwiać w wierności do Stolicy Apostolskiej i prawowitej Kościoła władzy, nic nie zdoła zmienić tradycyjnych uczuć naszych.

Odpowiedź czcigodnego dostojnika taką nacechowana była pokorą, tak wielkiem społecznym, że odrazu zniewoliła serca słuchaczy. Acz wcale dobrą do nich przemówił polszczyzną, wyraził nadzieję, że z czasem jeszcze poprawniej i biegłej w oczystym ich języku przemawiać będzie. Ze wzruszeniem widocznym przyjmował hołd tej garstki przedstawicieli, Kościoła części.

Doniedawna Wrocław był podległym starożytnej poznańskiej metropolii i uznawał jej *primat* wśród stolic biskupich; już po zerwaniu owego wieloletniego węzła, nie ustały serdeczne stosunki obu katedr. Książę Biskup Wrocławski, szanując nasze zachowanie się pełne godności, z prawdziwie chrześcijańską miłością przysparzał deputacyą poznańską i wszędzie jej pierwsze nazywał miejsce. Ażeby nie przybrać stroju oznaczającego wyższość hierarchiczną nad biskupa konsekratego, ks. Dinder podczas ceremonii w zwykłych wystąpił fioleciech i dopiero na ucztę przywdział prymasowską arcybiskupów gnieźnieńskopoznańskich purpurę. Arystokracja szlaska, wierna pamięci dawnej łączności i mówiąca podziś dzień dobrze popolsku, jak hr. Praschma, hr. Saurma, hr. Matuszka, hr. Balestrem,—przyłączyli się do zastępu poznańskiej reprezentacyi. Władze wojskowe nie uczestniczyły w tem pokojowym święcie. Po odbytej ceremonii około stu osób zasiadło do stołu w pałacu Księcia Biskupa a wśród licznych toastów największe sprawiła wrażenie mowa ks. Arcybiskupa poznańskiego: „Pełnić przykazania Boże we wszystkim, a wady słuchać, z zastrzeżeniem atoli apostolskim: „Sami powiedzcie, czy należy więcej ludzi słuchać, aniżeli Boga?“

W tych słowach znaleźliśmy jakby zaręczenie, iż nowy pasterz umiłowałszy Zakon Boży i sprawiedliwość, nigdy się nieda użyć za narzędzie niesprawiedliwości.

Tydzień za ledwie przegrodził obchód Wrocławski od ingressu do Katedry Poznańskiej. Tymczasem nowy purpurat odbył zwykłą obowiązującą w takich razach podróż do Berlina, gdzie był z wielkiem podejmowany uszanowaniem, a następnie właściwy wielkorządca i samorządca Niemiec, potężny kanclerz, powołał go i do Friedrichsruhe, co zapewne dla katolickiego biskupa nie zbyt przyjemną było koniecznością, gdy mu tak wypadło stanąć wobec tego wielkiego wroga jego wiary i jego owieczek. Pozorne grzeczności nie przysłaniają nieublaganej polityki, czego dowodem, że tak w dniu konsekracyi nowego arcybiskupa, jak nazajutrz po jego ingressie, nowe terminy sądowe i nowe kary więzienne zostały nałożone na młodych dyecezyi naszych kapłanów, za pogwałcenie ustaw majowych—ustaw przez wrzekomy pokój już jakoby usuniętych!

Ks. arcybiskup sam pragnął zamknąć obchód ingressu w ramach czysto kościelnej uroczystości.

Czysto zatem religijny obchód sprowadził liczne zastępy wiernych, znaczny poczet duchowieństwa i obywatelstwa na ciasny plac tumski, dzielący kościółek Najśw. Panny *in summo* od

samejże katedry. Ks. Kanonik Dorszewski pierwszy przemówił w imieniu dyecezyi do nowego jej przewodnika, a przemówił serdecznie, rzewnie. Arcybiskup w kilku słowach odpowiedział, zapewniając zgromadzonych, iż wedle sił swoich pasterzem im będzie i ojcem. Zarazem wzbila się w niebo wspaniała pieśń: „Ciebie, Boże, chwaliłmy“ i z tą grzmiącą melodią wstąpił pochód w progi katedralne. Po odebraniu obu dyecezyi od kleru ks. Arcybiskup przemówił serdecznie, znów z tym odcieniem pokory, który dodaje rzewnego znaczenia jego posłannictwo. Ani wola jego ani siły nie godziły się na to cierniowe zadanie, cała nadzieja w Bogu, w pomocy duchowieństwa i w uległości ludu wiernego. Zakończył zaś serdecznym staropolskim pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“

Wspaniała i wyniosła postać nowego purpurata, obok serdeczności jego pierwszych do swych owieczek przemówień, niewoliła mu serca obecnych. Biskupie szaty, które miał na sobie, uderzały kosztownością, pasterał zaś był darem żegnających go dawnych, a przywiązanych, królewieckich parafian.

Po powrocie do pałacu, odnowionego kosztem rządu, po dwunastoletnim zamknięciu — rozpoczęło się przyjmowanie deputacyi. Pierwsi stanęli dziekani, kler archidyecezalny, a w przemowie do nich dobrze brzmiało przeczcucie prób, które zarazem pasterzowi i duchowieństwu znieść przyjdzie, bo po wyrażeniu nadziei, że lepsze nastaną czasy, dostojny arcybiskup natychmiast dodał konieczność gotowości do zniesienia wszystkiego dla doczesnego i wiecznego dobra braci swych i owieczek. W imieniu obywateli ziemskich zabrał głos sędziwy hr. Edward Poniński, w imieniu miasta właściciel wielkiego stolarskiego zakładu p. Zeyland, znalazła się i spora gromadka włościan, a wszystkim nowy arcybiskup wyrażał zbudowanie, jakim go przejmuje gorąca wiara i rozrzewnienie, jakiego doznaje, patrząc na dowody przywiązania do Stolicy Apostolskiej.

Jednym słowem: cała uroczystość odbyła się poważnie i pobożnie, bez jednego fałszywego dźwięku, jednego nietaktownego objawu lub wybryku. Dwustronna należała się wdzięczność: i społeczeństwu, które umiało taką zachować miarę i w rzewnym powitaniu nowego kierownika steranej walką nawy naszych dyecezyi i prowincyi, i arcybiskupowi, którego pierwsze kroki między nami nic do życzenia nie pozostawiają pod względem roztropności i społecznia.

Ponieśliśmy tu dotkliwą stratę w osobie zasłużonego D-ra Teofila Mateckiego, wice-prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, członka zarządu kilku innych jeszcze związków, autora wielu dzieł praktycznych z dziedziny medycyny. Mąż zany i czynny, należał ochotnie do każdej posługi obywatelskiej, w mieście naszym przodował licznemu zastępowi młodszych lekarzy, nauką i doświadczeniem na to pierwszeństwo sobie zasłużywszy. Dobrym rysem jego charakteru po zostaniu testament zaklinający spadkobierców, aby nie dochodzili na drodze sądowej zaległych a przynależnych mu honoraryów.

Pierwsza tedy już włość polska została na cele kolonizacyjne nabytą. Mała to wioska, nie nosząca nawet tytułu „Rittergut.“ Niemniej z 1200 morgów pruskich da się wykroić dziesięć większych i dziesięć mniejszych osad, co sprowadzi około stu kolonistów na biedną ziemię naszą tyłu kłeskami stoczoną. Ztąd widać, iż powiat gnieźnieński pierwszy pójdzie w ogień próby, i lechowa kolebka na pole experimentów kolonizacyjnych użyta zostanie. Z mętnych wyrażań niektórych *enfants terribles* sejmowych z powagą augurów dających do zrozumienia, że rząd ma ukryte a szersze plany i widoki, aniżeli się świat domyśla—można powziąć podejrzenie, czyli tu nie chodzi o spróbowanie *in anima vili*, czyby upaństwowienie ziemi nie dało się w Prusach przeprowadzić, na amerykańską modłę utopisty i ekonomisty Georęsa. Ten zwolennik *à outrance* socjalizmu państwowego na przełom agraryjny radzi upaństwowienie własności ziem-

skiej, systematu, który zwie *Land-nationalisation*. Łatwo dorozumieć się można, do jak potwornych stosunków sliśka ta droga gotowaby świat doprowadzić. Wszystkie zaś experimenta Prusy nawięły na naszej robić skórze, uważając nas za kozłów ofiarnych, czy kiedy chodzi o rozpoczęcie walki kulturalnej z Kościołem, czy gdy idzie o zastosowanie mrzonek zamorskiego marzyciela.

DAWNI I NOWOCZEŚNI.

II.

Kaligula.

....Kaligula, prawdę mówiąc, nie ma historyka. Księgi Tacyty *Annales*, w których tenże kreśli jego dzieje, zaginęły. Jest to strata niepowetowana, niedokładnie zastąpiona kroniką Swetoniusza, która także o małego nie zaginęła; zła pany bowiem ktoś przy czytaniu Swetoniusza *Kaliguli*, został przez Kommodusa rzuconym na pastwę dzikim zwierzętom: „feris objici jussit“ a książka spalona. Wściekły szaleniec Kaligula wszczepiony w dynastya Cesarów, krępował ich, radziby więc byli zatrzeć pamięć o nim... Zatem relacya Filona (Poselstwo do Cajusa) stała się nadzwyczajnem odkryciem. „Cóżby to było, gdybyście byli widzieli i słyszeli tego potwora!“—mówił Eschines do swych uczniów, przeczytawszy im mowę wymierzoną przeciw Kaliguli. Otóż Filon widział i słyszał tego potwora i zdaje z tego sprawę. Wydostawszy się z jego jaskini, napisał tę relacyą przeniklioną prawdą i przestrachem.

Okoliczności, które zbliżyły Filona do Kaliguli były następujące:

Liczna i bogata kolonia żydowska kwitła od wieków w Alexandryi. Wielkie to miasto było naówczas niby pandemonium religijnem, w którym wrzały zmieszane ze sobą wszystkie wyznania i wszystkie doktryny. Żydzi zamieszkujący dwa okręgi mieli w swych rękach banki i handel; synagogi ich były liczne, a szkoły słynne. Alexandrya stała się Jerozolimą świecą Izraela, ale nienawisć przeciw Żydom nie wybuchła nigdzie tak gwałtownie, jak właśnie w Alexandryi... Ich niezmiernie bogactwa, geniusz ekonomiczny, porobił z nich doradców i ministrów nad finansami Ptolemeuszów... Pewnego dnia, nienawisć tłumiona wybuchnęła jak wulkan, tłum fanatyczny, który stawczył się później chrześcijańskim, miał ukamienować szlachetną Hypatyą, rzucił się na przedmieście żydowskie, niszcząc i rabując domy, spędzając tysiączną kupą Żydów w ciasne i brudne miejsca, gdzie ich trzymał w oblężeniu. Ci, których głód wywabiał, zostali nielitościwie pomordowani.

Gubernator rzymski patrzył przez szpary lub obmywał sobie ręce w misce Piłata z tej krwi.

Zropaczeni Żydzi postanowili zwrócić się do Kaliguli, wysłali więc poselstwo do Rzymu, a Filona, jako mówcę. Alexandryjscy mieszkańcy wysłali ze swej strony deputacyą. Wilki Egiptu i owce Izraela miały bronić swej sprawy przed tygrysem rzymskim.

* * *

W chwili, w której wysłańcy żydowscy przybyli do Rzymu, Kaligula doszedł szczytu wściekłego szału. Oddawna już ustanowił się bogiem. Miał swą świątynię, a w tej świątyni swój posąg ze złota, ubrany tak ak on, i na cześć jego co rano zabijano czerwonaki i pawie. Nosił narozem nimbos Apollina, trójząb Neptuna, przepaskę Wenery i laskę Merkuryusza. Piorun teatralny, wydający błyskawice siarkowe, nasładował piorun Jowisza... Często w bezsensnych nocach wypadał ze swej komnaty i biegnąc przez

galerye pałacowe, rozmawiał się z Oceanem. Często widziano go znowu wspinającego się do uszu posągu Jowisza Kapitolińskiego i nasłuchującego, jak gdyby czekał odpowiedzi, poczem znieważającego posąg, gdy niedość szybko ją otrzymywał. Innym razem rzucił kamieniem ku niebu, przeklinając: „Albo mnie ty zabij albo ja ciebie.”

„Bóg” może czynić wszystko, nie grzeszy nigdy i jest nieodpowiedzialnym. Ażeby stwierdzić swą wszechwładzę, potrzebuje Kaligula zbrodni niesłychanych, czynów potwornych, prawa śmierci fatalnego, nieubłaganego, takiego, jakie ma pozornie natura. „Wszystko i przeciw wszystkim wolno mi”, taką była zasada rządów Kaliguli. Zmusił swego kuzyna Tyberyusza do samobójstwa dlatego, że wyzwany przezeń na ucztę, przyniósł ze sobą antydot. „Co? — antydot przeciw Cezarowi?”

Zbrodnie jego były bajeczne. Kiedy mięso zdrożało, kazał przez oszczędność, wrzucać starych gladiatorów do klatki lwów cyrkowych. Z więźniów zamykanych w klatkach, a zmuszonych pelzać na rakach, utworzył sobie menażeryą ludzką, którą potem karmił menażeryą zwierzęcą.

Trzymał też wkoło siebie sforę patrycyuszowską; do przyjemności jego należało to, że kazał biegać przy swym rydwanie senatorom ubranym w togę. Raz omylił się kat i zgładził wiernego. Cezar uśmiechnął się, mówiąc: „I tak zasłużył na śmierć.” Patrycyusz pewien, rzucony lwom na pożarcie, wrzeszczał, że jest niewinny. Kaligula kazał go wyciągnąć, uciąć mu język i potem rzucić napowrót na arenę. Gdy siostra jego Drusilla umarła, ściać kazał tych, którzy nie płakali, bo była to jego siostra, a ukrzyżować znowu tych, którzy płakali, bo była to bogini. Ojców zapraszał na widowisko katuszy ich synów. Tortura zaprawą była uczt, krzyki męczonych muzyką. „Męcz — upominał kata — w taki sposób, iżby czuł, że umiera.” (*Ita feri ut se mori sentiat*). Rozrzutność jego była tak szalona, jak okrucieństwo; nago tarzał się wśród brył złota, współbiedniakom podawać kazał chleb i potrawy ze złota, a sam pił stopione perły.

Czasami bawił się oglądaniem ludu, kazawszy pozamykać wszystkie spichrze. Po wygłodzeniu znowu rozpasana ucztą, i wtedy rzucał z balkonu pałatyńskiego żywność, owoce, ptaki, sesterce, tylko że ukryte ostre noże, kaleczyły i zabijały chwytających taką mannę. Kiedy się już kufty wypróżniły, iobił się sam sprzedającym meble, naznaczywszy cenę. Jeden z senatorów, zdrzemnąwszy się podczas licytacji cesarskiej, zapłacił za każde kiwnięcie głową; przy obudzeniu się przysądzono mu 13-tu gladiatorów za dwa miliony. Radził sobie też Kaligula za pomocą liktorskiego topora. Raz zgrawszy się wstał od stołu, kazał zamordować dwóch patrycyuszów rzymskich, dobra ich skonfiskować, poczem powrócił rozweselony, mówiąc, że jeszcze nigdy takiego szczęścia nie miał w kości. Zabiwszy Juniusa Priscusa, którego miał za bogacza, a który nim nie był, rzekł: „Oszukał mnie — zasłużył na to, żeby żyć.”

Potwór ten był facyeconistą, jako mieszaniec małpy z hyeną. Gdy mu jeden z sakryfikatorów podawał nóż, zabił go jednym pchnięciem: wziął ofiarnika za ofiarę przez żart.

Ktoś podczas jego choroby uczynił wotum ze swego życia; Kaligula dopomógł mu do spełnienia wyzdrowiawszy, bo skrupulatnie strącić go kazał w przepaść... Co dziesięć dni zaznaczał na liście więźniów tych, którzy mieli zginąć, nazywając to „Oczyszczeniem swych rachunków.” Idea śmierci, którą nosił w sobie, podniecała go jak pijaństwo. Krew napływała mu na usta. Raz chciał oddać na męki swą ukochaną Cesonią, ażeby przez boleść wydobyć z niej sekret miłości, którą sam odczuwał dla niej. Głaszcząc ją i pieszcząc, marzył o ścięciu jej głowy. Ale nade wszystko pragnąłby takiej głowy, którąby ściąć mógł za jednym zamachem, a tą głową był lud rzymski: marzenie potwora, ideał ohydny tyranii, której już zbrakło konceptu....

* * *

Takim był człowiek, przed którym stało społeczeństwo. Za przybyciem swoim do Rzymu do wiedzieli się wysłańcy, że Kaligula nakazał ustawić posąg swój w świątyni Jeruzolimskiej. Cały naród żydowski przywdział włosiennice i posypał sobie włosy popiołem, jak za czasów napadów Niniwy i Babilonu. Żydzi, gotowi umrzeć raczej, aniżeli znieść takie świętokradztwo, przygotowywali się przez głód do męczeństwa.

Pewnego dnia Petroniusz, gubernator rzymski w Palestynie, ujrzał nadchodzący tłum w żalobie i zawodzący głośno. Olbrzymie łkanie wychodzące z piersi tego ludu wydało się jednym jękiem. Starcy idący na przodzie oświadczyli, że pozabijają żony swe i dzieci, a potem siebie. Nie były to pozorne groźby; obłędnie Jerolimy sprawdziło w kilkanaście lat potem, straszliwy plan samobójstwa całego narodu.

Petroniusz, zmieszany, zawahał się i odłożył przeniesienie posągu. Kaligula otrzymał właśnie listy od niego, gdy żydzi alexandryjscy poprosili go o posłuchanie. Niechże sobie kto wyobrazi gniew tego boga bogów, któremu mizerny ja kiś ludek azyatycki śmiał odmówić miejsca w świątyni!

Pierwszy raz, rzecz niesłychana, ujrzał przed sobą opór. Uderzył się o niego, jak o mur, wściekły, rozhukany, wyjący groźbą i przekleństwem. Ulubieniec jego, Agryppa, król Judei, stawiając się w pałacu podczas takiej chwili, usłyszał potok groźb. Spiorunowany, padł bez życia ze strachu w ramiona swych niewolników i przez dwa dni leżał w omdleniu letargicznym. Boski wszakże Cajus przedsięwziął pomścić sam obelgę. Ulano olbrzymi jego posąg ze spiżu złocznego, który on sam intronizować miał w świątyni Jeruzolimskiej.

W wigilią prawie tego wyjazdu dał posłuchanie posłom żydowskim. Odbyło się ono w wilałach przytykających do siebie, Mecenasu i Lanii, które właśnie odnawiać polecił.

Ażeby sobie dobrze wyobrazić tę scenę tragicomiczną, trzeba najpierw wyobrazić sobie Kaligulę takim jakim go odmalowali Seneka i Swetoniusz. Wysoki młody człowiek, łysy i chwilejący się, z ogromnym tułowiem, trzęsący się na cieniutkich nogach, obrośnięty, jak kozioł. Nie wolno było wspominać w jego obecności tego zwierzęcia. Nieustanne drganie przekrzywiało jego twarz trupio-błądą.

Żydzi stanawszy przed nim, rzucili się twarzą ku ziemi. Na ich widok Cajus wpadł w wściekłość i zgrzytając zębami, wrzasnął: „Więc to wy bezbożni, którzy jedynie z pomiędzy wszystkich przyznających mi boskość, uznajecie jakiegoś Boga nieznanego!” I równocześnie ze wzniesioną ku górze ręką, wyzionął bluźnierstwo, które przerażać musiało tych kapłanów Adonai, uważających za zbrodnię samo wymówienie tego imienia.

Takie przyjęcie napełniło radością alexandryjskich posłów, którzy jeli natychmiast schlebiać manii straszliwego błazna, nieszczędząc mu wszelkich nazw boskich. To grube pochlebstwo upoiło go. Jeden Egipcjanin, nikczemny potwarca, skorzystał ze sposobności, ażeby zaskarżyć żydów, iż nie chcą składać ofiar dla niego. A żydzi na to: „Składaliśmy hekatomby gdyś został cesarzem, gdyś wyzdrowiał — i na powrót twój tryumfalny z Germanii.” Nie zadowolnił się Kaligula: „Składacie ofiary, ale innemu, a nie mnie. Co mnie obchodzi wasze ofiary, jeżeli nie są do mnie zwrócone.” I odwracając się od nich, zaczął przebiegać wille, przyglądać się sufitom, krytykować budowę, która mu się nie wydała dość wspaniałą. Wysłańcy żydowscy szli za nim z głową spuszczoną, wydrwiwani przez Egipcjan „tak, jak gdyby w jakiejś farsie teatralnej.”

Nagle Cajus się odwraca i zapytuje ich poważnie: „Dlaczego nie jesteście świni?” Na te słowa, Egipcjanie wybuchają śmiechem, jak gdyby posłyszeli najpyszniejszy żart. Jowisz raczył zrobić dowcip, powitaligo niekończącym się śmiechem, atoli wesołość ich zbyt hałaśliwa nie podobąca się ministrom dworu, surowym spojrzeniem nakazali im milczenie. Zaledwo najpoufalszym Cezara wolno było uśmiechnąć się nieznacznie. Biedni Żydzi odpowiedzieli pokornie,

że obyczaje zmieniają się wraz z krajem, i że przecie ich przeciwnikom zakazane są pewne potrawy. Jeden z nich rzekł, że nawet niektórzy wahają się jeść barana. „Mają słusność — zawołał Cajus — bo mięso to nic warte.” I zaczął się śmiać głośno ze swego dowcipu. Poczem wpadając znowu we wściekłość, czyli stan swój zwykły, rzekł: „Nakoniec na czemże opieracie prawo swego pobytu w Alexandryi?”

Żydzi zaczęli się bronić, ale Cajus, widząc zapewne, że mają słusność znowu odwrócił się od nich plecami. Wszedł do ogromnej sali, ciągnąc ich za sobą i obszedł ją kilka razy wokoło, poczem znowu zwrócił się do nich nagle uspokojony, i zapytał: „Coście mówili do mnie?”

Po raz drugi opowiedzieli Żydzi swą sprawę; po raz drugi zostawił ich puszczając się do drugiej sali, gdzie kazał wstawić stare obrazy. Była to igraszka tygrysa bawiącego się ze swą zdobyczą, tak, jak kot z myszą.

Te drwiny obelżywe zdawały się Żydom zapowiedzią śmierci.

„Trwoga — mówi Filon — wkradła się w nasze serca, a z nią ostatnie wezwania do prawdziwego Boga z prośbą żeby uciszył gniew tego fałszywego bożka. Pan ulitował się nad nami i ozdrowił jego duszę.”

Cajus istotnie ułagodził się i rzekł do nich: — „Odejdźcie. Koniec końców, ci ludzie są raczej głupi niż źli jeżeli nie chcą uwierzyć, że ja jestem Bogiem.”...

W kilka dni potem Kaligula przechodząc przez kryptę pałatyńską, w drodze do kąpieli, napotkał grupę młodych ludzi azyatyckich, których ćwiczone dla teatru. Choereasz, trybun kohorty pretoryańskiej, stawił się przed nim, pytając o hasło: „*Jovem*” — odrzekł Kaligula — „*Accipe iratum* (Odbierz znak jego gniewu)” krzyknął Choereasz, uderzwszy go mieczem przez głowę. Inni spiskowi rzucili się na ofiarę. Cajus padł przeszyty trzydziestoma pchnięciami.

W kilka godzin potem pretoryanie zajęli pałac, rabując go. Skoro poszli do *heliocaminu*, galerii wysokiej, w której podczas mrozu ogrzewali się przy słońcu, żołnierz imieniem Gratus dostrzegł nogi wystające z pod kotary u drzwi; pociągnął je ku sobie i ujrzał człeczynę, który padł mu do nóg, błagając litości. Był to Klaudyusz, wuj Kaliguli, i cel żartów całej rodziny cesarskiej.

Na ucztach w Palatynie igrała z nim straszliwa ta rodzina. Rzucano mu na głowę łupiny z oliwek i daktyli, a błazny pałacowi różgami podnosili go z siedzenia. August nie pozwalał pokazywać go publicznie. „Nie trzeba — mówił — ażeby ludzie przyzwyczaili się śmiać z podobnych rzeczy.”

Gratus podniósł z ziemi struchlałego — padł przed nim na kolana i ogłosił go cesarzem. Żołnierze okrzyknęli go także, wsadzili do lekyki i zawieźli do obozu pretoryańskiego. Tam przepędził noc całą, wystraszony, płaczący, zgłupiał. Nazajutrz Klaudyusz ogłoszony przez senat, wstąpił, utykając, na tron świata i przypiął sobie u czoła laur złoty Cezarów.

Panowanie jego było odpoczynkiem w przesładowaniu żydów. Okazał się dla nich przychylnym, a kolonia w Alexandryi zakwitnęła na nowo.

Filon, wychodząc naówczas z psłuchania u Kaliguli, wyrzekł był te piękne słowa do swych zgnębionych towarzyszy: „Powinniśmy mieć teraz nadzieję, więcej niż kiedykolwiek, bo cesarz jest tak rozgniewany na nas, że Bóg niezawodnie przyjdzie nam z pomocą...”

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Maju 1886 r.

Pożar Stryja. — Odbudowanie miasta. — Inne pożary. — Próba ogniotrwałej odzieży wynalazku inżyniera Szalla. — Jubileusz

prezesa „Gwiazdy” Mieczysława Darowskiego. — Kartony Martejki na fryz auli politechniki lwowskiej. — Czytelnia niewieścia. — Stowarzyszenie w pracy kobiet. — Nanka kucharkstwa. — Kuchnia dla króla Rumuńskiego. — Śpiewnik prof. Czubskiego. Wydanie pośmiertne poezji Maryi Bartusówny.

(Dokończenie).

Ale zejdźmy ze światów allegoryi na ziemię, w obręb towarzyski i naszych stosunków. Mniemam, że rzecz ta zajmie czytelniczki *Bluszcza*. Gdzie ma szukać rozrywki towarzyskiej kobieta, chcąc wytechnąć po pracy, po trudach i kłopotach domowych, zwłaszcza w osamotnieniu, gdy mąż, poza domem zajęty oddaje się również pracy i zabawie?

Takie pytanie zadało sobie tej zimy grono pań tutejszych i zajęło się praktycznym jego rozwiązaniem. Mężczyźni mają swoje resursy, kassyna koła i kółka, w których szukają towarzyskiego wytchnienia po pracy i sporo nawet czas w nich przepędzają, dla czego by i my kobiety mówiły inicjatorce projektu — nie miały utworzyć sobie podobnego ogniska zgrupowań towarzyskich? Nie znam nazwisk pań, co pierwsze powzięły ten pomysł. Przypuszczam, że były to panny i bezdzietne wdowy. Dość, że zawiązano „czytelnię niewieścią“ z wkładką po pięć guldenów rocznie, przeznaczonej na prenumeratę gazet i najem lokalu na „czytelnię“ pomieszczoną na początek w komornem u stowarzyszenia „Pracy kobiet.“ W ciągu zimy przystąpiło do grona „czytelni“ podobno około dwustu pań uczęszczających tam wieczorami, nie tylko na gazety i pogadankę, ale także na słuchanie rozmaitej treści wykładów, odbywających się co dni parę na tych zebraniach, jak np. rozbiór powieści Sienkiewicza i t. p. Rzecz naturalna, że z tem wszystkim łączy się nienukionny aparat administracyjny, i dyskusje prowadzone we dług form parlamentarnych, ujęte i nienięte regulaminem. Ale i tutaj jak wszędzie w świecie, nie obeszło się bez opozycji. Podczas gdy zwolenniczki „czytelni“ rozentuzjazyzmowane dla tej nowej u nas instytucji, popierały z gorliwością, prawie do fanatyzmu posuniętą, jej utworzenie, podnosząc płynące z niej korzyści kształcenia się umysłowego i t. p.; obóz przeciwny, złożony z *domatorek*, czcicielek ogniska domowego i kółka rodzinnego, z równą zaciętością powstał przeciwko czytelni — i rozpoczęła się walka, prowadzona dosyć namiętnie przez całą niemal zimę skutkiem czego losy „czytelni niewieści“ długi czas wisały na włosku, a podobno i dotychczas jeszcze wiszą. Obecnie wszakże pora wiosenna a zbliżające się lato ze swemi przechadzkaniami i wycieczkami sprowadzi zawieszenie broni i odroczy walkę do powrotu długich wieczorów zimowych.

Stowarzyszenie „Pracy kobiet“ nie rozwinęło się u nas dotychczas tak, jakby należało; nie umiem wytłómaczyć z jakiej przyczyny, ale jak mi się zdaje, głównie przez brak odpowiedniego kierownictwa. „Praca Kobiet“ ma statutem obszernie zakreślone zadanie, dające we wszystkich kierunkach do podniesienia oświaty i moralnego uszlachetnienia, tudzież praktycznego wykształcenia w rozmaitych zawodach kobiet niezamożnych warstw społeczeństwa. Służyły ku temu obok szkoły właściwej, pracownie w których zajmowano się szyciem bielizny, hafciarstwem, krawiectwem, wyrobem obuwia i t. p. Z początku sympatya powszechna otoczyła pożyteczny zakład a liczne zewsząd zamówienia zdawały mu się zapewniać pomysłny rozwój i utrwalenie bytu. Zwłaszcza pracownia krawiecka, dobrze prowadzona, mogła stać się kamieniem węgielnym przyszłości zakładu. Wszakże nie trwało to długo. Pracownia krawiecka stowarzyszenia nie umiała utrzymać swej klienteli, licznie garnącej się początkowo, a zamówienia zamiast pomnażać się, zaczęły coraz bardziej ubywać tak, iż w końcu z braku tychże postanowiono zwinąć pracownię krawiecką, gdyż dochody z niej nie pokrywały kosztów utrzymania. Zwinienie pracowni krawieckiej, a następnie i niektórych innych zadało cios dotkliwy Zakładowi, albowiem szycie bielizny także nie szczególnie się opłaca. Chcąc ratować „Pracę Kobi t“ i pomnożyć do-

chody, wprowadzono przed laty kilka wyrobów sztucznych kwiatów i dział ten szczególniejszą otoczono opieką. Ale przedmiot ten z natury swej nie jest tego rodzaju, aby mógł utrzymać Zakład i dać mu trwałe podwaliny. Kwiaty, rzecz piękna, ale to przedmiot zbytku, a najpiękniejszy bukiet nietylko sztucznych, ale nawet prawdziwych kwiatów, nie zastąpi w porze głodu bohenka chleba. Jakoż wkrótce przekonano się że sprzedaż sztucznych kwiatów nie jest bynajmniej w stanie pokryć niedoboru i że potrzeba gdzieindziej, na praktyczniejszem polu szukać ratunku. Na ostatniem walnem zgromadzeniu niedawno odbytem, podniosła też p. Gostyńska poparta przez liczne grono obecnych, wniosek utworzenia w Zakładzie szkoły kucharskiej. Myśl to zdrowa i zdaje się, że może liczyć na powodzenie i na wdzięczność gospodyń miejskich i wiejskich, niemogących sobie nieraz dać rady z większą częścią dzisiejszych nieumiejętnych a do bezczelności zarozumiałych, samozwańczych kucharek, pod których despotyzmem wszyscy żyjemy. Mając pewność dobrego obiadu, milej się widzi piękny bukiet na stole.

A kiedy już mowa o kucharkstwie, warto wspomnieć o kuchni sporządzonej tu dla Króla Rumuńskiego, która przed wysłaniem do Bukaresztu, była na widok publiczny wystawiona. Inżynier mechanik Rychnowski, który obecnie osiadł stale we Lwowie, urządził przed dwoma laty piec w królewskim pałacu w Bukareszcie, o systemie ogrzewalnym, który tak się okazał do brym, że król zamówił u niego kuchnię, teraz dopiero ukończoną, której robota trwała dwa lata. P. Rychnowski otrzymał za nią podług umowy podobno 25,000 franków, czyli około 13,000 guldenów, lecz znawcy sądzą, że cena to wcale nie przesadna a zysk za robotę stosunkowo nie wielki. Konstrukcja kuchni jest bardzo sztucznie obmyślana, obliczona na czterysta osób i dosyć skomplikowana. Składa się ona z ośmiu kuchni, połączonych z sobą w ten sposób przewodami z kutej blachy żelaznej, że przez miarkowanie odpowiednie płomienia i pary, można je ogrzewać i ochładzać dowolnie, lub wszystkie razem, lub też pojedynczo. Smaży się tu naraz czterysta bifsteków, na rożnach, parą obracanych, piecze się kilkadziesiąt sztuk drobiu; zaś na sporządzenie śniadania, t. j. robienie kawy i gotowanie śmietanki, służy osobna mniejsza kuchenka, z równie sztuczna konstrukcją, dowcipnie obmyślana. Dla nas profanów, co dobroć konstrukcji kuchennej oceniać umiemy tylko z półmiska, cały ten skomplikowany organizm mechaniczny, pozostał mało zrozumiałym sfinxem, ale rzeczoznawcy, zdający sobie sprawę z przeznaczenia tych wszystkich połączonych tu akcesoriów, tworzących umiejętnie złożoną całość, tych przeróżnych kranów, zasuwek, kotłów i kociołków, przewodów i spójni, z blachy żelaznej, z mosiądzu, z miedzi i t. p., nie mogli się nachwalić, jak wszystko umiejętnie użyte odpowiada celowi i jak dobrze zostało wykonane.

Naostatek słówko jeszcze z dziedziny wy dawniczej. Towarzystwo Pedagogiczne wydało czwarty i ostatni już tomik *Śpiewnika dla szkół ludowych i wydziałowych*, ułożonego przez nauczyciela śpiewu w tamtejszem seminarium nauczycielskiem Czubskiego. Tomik ten zawiera pieśni kościelne, świąteczne, kolendy i inne treści religijnej. Do tekstu każdej pieśni dołączone są nuty, i to jest właściwą przedsięwziętą przez p. Czubskiego pracy zasługą. Sam wybór pieśni tu zgromadzonych nie zawsze odpowiada zadaniu książki przeznaczonej dla młodzieży. Pod tym względem nie może on się równać z wydanym dawniej zbiorkiem poezji i pieśni dla uczniów szkół ludowych *Smettauera*. Ale wiele zasłużył się p. Czubski zebraniem i rozpowszechnieniem, a przez to samo zachowaniem wielu idących już w zapomnienie przeslicznych melodii ludowych, religijnych, pomiędzy którymi znajdujemy też staroświeckie kompozycje Gomółki i późniejsze Karpińskiego, poważne, wspaniałej prostoty i szczególniejszego uroku.

Zawiązał się tu komitet celem wydania zupełnego poezji s. p. Maryi Bartusówny. Wyjdą w trzech tomach, na które ogłoszono przedpłatę,

przeznaczoną na dochód pozostałej matki. Dobrze, że rzeczy te zostaną tym sposobem uratowane od zatraty w rozproszeniu po dziennikach. Utworzą one piękną wiązkę polnego, samorodnego kwiecia. Bartusówna nie była geniuszem, ale posiadała talent bardzo sympatyczny. Życie jej płynęło boleśnie, wśród mozolnych przykrości i niedostatku. Poważniona ze swym zawodem i położeniem, ciężkich doznała goryczy. Jest też w jej pismach serdeczny smutek, przytem wiele poetycznego wdzięku.

W. Zwadzki.

Kronika działalności kobiecej.

Na wystawie gospodarstwa krajowego było wystawczyni 9, a mianowicie: pp. hr. Ludwika Działyńska z Trojanowa konie, Marya Lewicka z Regowa konie, Honorata Łukasiewiczowa z Tułibowa bydło rogate, hr. Katarzyna Platerowa z Hruszniewa bydło rogate i trzodę chlewną, Izabella Ryxowa z Prazmowa trzodę chlewną i drób, Alexandra Sachs z Bronowic drobiu, Franciszka Śliwowska z Skordyowa masło, Marya Uzdowska z Parzniewa drób, Emilia Polender z Warszawy psy. W liczbie sędziów zasiadło w dziale drobiu pań trzy: księżna Marya Czerwtetyńska, Marya Hantke, Celina Przyłubska. Nagród w medalach i listach pochwalnych przypało dla wystawczyni 8, nagród pieniężnych 3, a mianowicie:

P. Marya Lewicka otrzymała wielki medal srebrny za ogół wystawionych koni krwi arabskiej, w liczbie sztuk 14. Stadnina regowska należy do najliczniejszych w kraju; mieści obecnie wraz z młodzieżą sztuk 160. Ceny koni z tej stadniny dochodziły w handlu od 650 do 900 rs. Za pojedyncze okazy otrzymywała p. Lewicka medal srebrny, brązowy i nagrody pieniężnej rs. 200. Katarzyna Platerowa dostała za dwa okazy bydła rasy Szwajcarskiej medal srebrny, za prosięta rasy angielskiej Yorkshire list pochwalny. Dozorczyni chlewni ze Snopkowa otrzymała 25 rs. nagrody pieniężnej, która to chlewnia (p. Antoniego Bobrowskiego) otrzymała potwierdzenie wziętego w roku zeszłym medalu złotego za ogół hodowli świń rasy angielskiej Yorkshire. Chlewnia p. Izabelli Ryxowej z Prazmowa, pozostająca w tym roku za konkarsem, przedstawiła 43 okazy liczącą grupę także rasy białej, Yorkshire, do której zwrócono się dziś przeważnie z powodu zamknięcia dla produkcji naszej granicy Niemieckiej, a na potrzebę miejscową, głównie słoniny, Yorkshire opłacają się lepiej. Jednak szkoda jest zaniedbywać zupełnie czarnej rasy angielskiej Berkshire, tuczącej się połowicznie i dającej najlepsze szynki i wędliny. Gospodynie wiejskie mogą zawsze liczyć na znaczny ich zbył w miastach naszych, a przytem czyżby ta gałąź przemysłu wiejskiego nie mogła sobie znaleźć zbytu w Anglii, rugując wędliny amerykańskie, nad którymi wisi zawsze groźba trychin?

P. Izabella Ryxowa otrzymała potwierdzenie medalu złotego za drób rozmaitych gatunków, wystawiony w liczbie 192 sztuk — za ciągły postęp i staranność w tej ważnej gałęzi kobiecego gospodarstwa wiejskiego. P. Franciszka Śliwowska otrzymała potwierdzenie zeszłorocznego medalu srebrnego za masło świeże i nagrodę 100 rs. P. Emilia Polender list pochwalny za mopsy.

— Wieniec obywatelskiej zasługi przyznany został przez francuzkiego stowarzyszenie: „Société d'Encouragement au Bien“, właściciele ogromnego paryzkiego sklepu: „Au Bon Marché“, Mme Boucicoult, za ciągle i szlachetnie zwracane czyny dobroczynności; obecnie pani ta ofiarowała 50,000 fran. dla zakładu Pasteur'a.

— Ogromne stowarzyszenie kobiece: „Union internationale des amies des jeunes filles“ zawiązanem zostało. Prezydentką jego jest M-elle Dyat, a celem opieka nad młodemi dziewczętami wszelkiej narodowości, które potrzebują pomocy, tak pod względem materialnego, jak moralnego.

i duchowego bytu. Główne biuro stowarzyszenia mieści się w Szwajcaryi, w Neuchâtel, ale urządza ono swoje komitety i zarazem biura, oraz domy schronienia w całej Francyi i Algieryi, we Włoszech, Anglii, Niemczech. Obecnie sekretarkę oddziału francuzkiego jest M-elle Coxe, prezydentkę M-elle Dyat i ten to oddział ogłosił świeżo cyrkularz, wzywający kobiety do współdziałania i łączenia się z towarzystwem, wspomagania jego czynności. Kobiety klas zamożnych mające dość wolnego czasu, proszone są szczególnie o zajęcie się wiejskimi, życia miejskiego nieświadomymi dziewczętami, które w wiekiej liczbie przybywają do Paryża z celem poprawienia sobie losu, lecz w przeważnej części znajdują tam tylko nędzę i upadek. Czynne członki stowarzyszenia, uwiadomione o dziewczętach takich i zaznajomione z nimi, biorą je pod opiekę swoją, dają służbę w prywatnych domach, lub innego rodzaju pracę. Te zaś kobiety, które pracują w rodzinach, lub na utrzymanie swoje i ztąd czas ich jest ograniczony, niech dadzą Stowarzyszeniu sympatję swoją; niech obznajmują z nimi i jego celami znajome swoje i jeżeli mogą, niech zajmują się przyjaźnie, każda choć jedną taką dziewczyną i widują się z nią od czasu do czasu, wyrozumieją jej stosunki i położenie, powiedzą jakie dobre słowo zachęty lub wskazówki, a, w razie potrzeby, uwiadomią jednem choć słowem, listownie przesłanem, biuro stowarzyszenia, że tam należy pośpieszyć z radą, czy pomocą jakąś. Stowarzyszenie składa się z członków czynnych i honorowych. Członkowie czynni płacą skromną składkę roczną jednego franka. Wszystkie młode dziewczęta, które z pozwoleniem rodziców opuszczają dom, mają odrazu prawo do opieki i wskazówek stowarzyszenia; pomocy nie odmawia się jednak i innym. Ze stowarzyszenie jest w wysokim stopniu użyteczne, że powinno-by istnieć i u nas, jest rzeczą niewątpliwą. Już to trzeba z żalem powiedzieć, że nie należymy do rządu społeczeństw dobroczynnych w znaczeniu moralnego zajęcia się ubogim, ciemnym, nieświadomym. Widok nędzy nas wzrusza i wtedy dajemy grosz, na jaki nas stać, ale tego uczuciowego zajęcia się bratersko - chrześcijańskiego, tego uczucia ludzkości, które się zowie filantropią, to jest kochaniem ludzi w potrzebującym pomocy człowieka — mniej u nas, niż gdziekolwiek. Może są i miejscowe przyczyny, rzecz utrudniająca, ale jest przysłowie, że kij znajdzie się zawsze, gdy rzeczywiście chcemy coś uderzyć. Takiego naprzykład zorganizowanego, na mnóstwo gałęzi miłosierdzia rozchodzącego się działania dobroczynności kobiety, jak we Francyi, w Anglii, niema u nas prawie, albo jest bardzo mało. Cała niemal praca w tym kierunku spada u nas na Siostry Miłosierdzia. Ze *Tanie Kuchnie* Warszawy są pozbawione całkowicie współdziałania kobiety, ciąży to na Warszawiankach zarzutem, ciężkim, jak bryła kamienna. Nie odkupuje się takich rzeczy datkiem pieniężnym. Trzeba coś własnej osoby swojej dołożyć do tego, aby to było dopiero *miłosierdzie*: uczucie mające w sobie pierwiastek *miłości*.

— Wdowa Michelet'a wydała świeżo książkę, która jest kompilacją z dzieł jej zasłużonego męża, a o której wyraziła się gorąco, że jest to „najlepsza praca jej życia”. Zatem nie najlepsza praca literatki, ale najlepsza praca Juliuszowej Michelet, jako istoty ludzkiej i jako taka książka jej wymaga innego na nią poglądu niż na dzieło literackie, i zapytania: jakim jest jej założenie, cel jaki?

Kobieta bezdzietna pisze ją dla młodzieży francuzkiej, zatem wywiązuje się niejako z niedopełnionego obowiązku kobiety nauczania pokolenia,

które rośnie, aby zastąpić to, które żyje dzisiaj, i czegoż ona uczy? Tytuł książki jest: *Notre France* a pomysł jej napisania ma historią swoją. Wdowa Michelet'a dokonywała pobożnie od śmierci męża kolejnego wydawania wszystkich jego literackich pozostałości, pamiętników, wspomnień, nawet ustnie powierzonych jej myśli, więc też do niej zwróciła się pewna garstka ludzi o pomoc w potrzebie, zostającej w związku z rozporządzaną przez nią spuścizną szlachetnego i kochanego przez Francuzką pisarza. Po nieszczęśliwej katastrofie wojny Francuzko-Pruskiej głos ogółu skarżył się mocno, że na szali zwycięstwa jednych, a przegrania drugich zacieżyła ta rzecz smutna, iż Niemcy znali Francuzką lepiej niżli Francuzi i ztąd napad lepiej był kierowany niż odpór, bo dobrze zorganizowany ogólny plan walki, czy zaczepnej, czy odpornej, musi się opierać na doskonałej i szczegółowej znajomości kraju, w którym wojna się toczy. Krzyczano, że Francuzów zwyciężył nie żołnierz niemiecki, ale niemiecki nauczyciel szkolny, zatem po wojnie nauka geografii krajowej została podniesioną w szkole francuzkiej do przedmiotów ważności pierwszorzędnej. Uczyniono ją bardzo szczegółową, aż do drobiazgowości, więc trudną dla uczącej się młodzieży, tem więcej, że stała się zarazem bardzo suchą, bo wykładano ją bardzo pozytywnie, a choć miała cel tendencji przeważnie obywatelskiej, rozmijano się z nim właśnie, bo przedstawiano młodzieży tylko ciało Francuzi, zapominając wcale o jej ducha, i nauczyciele geografii spostrzegli ten błąd, popełniony przez ministerium wychowania publicznego — błąd odcięcia Francuzi dawnej od Francuzi nowej — geografii od historii i jej obrazów, pracy ducha francuzkiego w ukształtowaniu się kraju. Usunięto z ziemioznawstwa Francuzi całą poezją przeszłości, a że Michelet postępował wręcz przeciwnie, że czyni ludzkie wiązał z ziemią, na której się spełniały — tło więc wypadków historycznych malował z poetyczną miłością syna, który przedstawia oblicze matki, więc do jego wdowy zwrócono się o książkę, którąby dopełniła braków nowej metody — geografiją różnych okolic Francuzi ożywiła wyjętymi z dzieł męża opisami wielkich dziejowych wypadków, wielkich aktów francuzkiego życia, tam rozgrywanych i mających też dla uczącego się niemniejszy, choć inny interes, jak ilość kilometrów drogi żelaznej, spławność rzek, różnice w stopniu urodzajności gleby i zajęciu mieszkańców. Tak powstała książka, którą zatytułowawszy: „*Notre France*” wdowa Michelet'a nazwała najlepszą pracą swego życia, bo przez jej autorstwo stawała się matką z ducha tych dzieci francuzkich, dla których dokonywała wielkiego obowiązku macierzyństwa — nauczania rzeczy swoich.

— W Medyolanie uczy się obecnie muzyki 600 Amerykanek.

DROBNE LISTKI.

— **Wielki medal** tegorocznej wystawy paryzkiej w dziale malarstwa otrzymał Juliusz Lefèvre; w dziale rzeźby nie przyznano go nikomu, bo nikt nie zyskał wymagalnej liczby głosów.

— **Żydówka** Halevy'ego odśpiewaną była w d. 26 Maja na paryzkiej scenie Wielkiej Opery po raz pięćsetny. Między 3-cim a 4-tym aktem uwieńczono popiersie kompozytora, przyczem śpiewały chóry i wydeklamowano wiersz, napisany na tę uroczystość.

— **Henryk Rochefort** napisał dramat, którego treścią jest nieszczęśliwe położenie Irlandyi i jej zubożalego ludu. Dramat przedstawia wypadki z 1866 r. i ma być w tych czasach odegrany w Nowym-Yorku. Podobno autor odnalazł w nim talent, który rokowała jego młodość.

— **Pamiętniki generała Klapki**, których przygotowane w Peszcie wydanie znów na kilka tygodni odwleczono, wyjdą w przekładzie niemieckim w Szwajcaryi.

— **Jokaj** napisał dramat, snuty na wypadkach oblężenia Wiednia w 1848 r. Tytuł jego jest: „Szukaj w sobie serca.” Treść wzięta jest z powieści historycznej Jokaja: „Człowiek z żelaznym sercem,” znanej u nas w przekładzie p. Maryi Kostrowickiej, który drukował *Tygodnik Ilustrowany*.

— **W Peszcie** organizuje się wyprawa do Afryki Środkowej. Na czele przedsięwzięcia, liczącego 100 członków, stoi hr. Samuel Teleky.

— **Osservatore Romano** podaje pewne szczegóły postępów, jakie kościół katolicki czyni poza Oceanem. Od 1822 r., to jest od czasu zawiazania stowarzyszenia *de propaganda fide*, złożono prywatnie na cele *Propagandy* 270 milionów lirów, a Stolica Apostolska ustanowiła w krajach otwartych dla wyznania katolickiego, 270 biskupstw i prefektur wikaryalnych. Gdy przed 63 laty w całej Azyi było tylko 12 biskupstw, obecnie w samych Indyach, wraz z wyspą Ceylon, jest 26 biskupstw i arcybiskupstw, obsługiwanych przez 1,200 kapłanów. W Indochinach, w Chinach i Japonii znajduje się półtora miliona katolików, z zarządzeniem duchownym 50 wikaryuszów apostolskich i 1,400 misyjnarzy. Przed 1822 rokiem nie było na gruncie afrykańskim żadnego biskupstwa z ramienia Stolicy Apostolskiej, obecnie posiada Afryka dwóch arcybiskupów, 12 biskupstw, 12 apostolskich wikaryatów i 16 prefektur. Ale postępy kościoła katolickiego największe są w Ameryce Północnej. Aż do 1822 r. były w Kanadzie tylko 2 biskupstwa; w Quebecu i w Montreal, obecnie jest ich 30, księży 2,000, wyznawców katolicyzmu 2,000,000. Oceania, zaniedbana misyjnie do 1840 r., posiada dziś 23 stolice biskupie. Szczegóły te są wyjęte z dzieła Fra Wenera.

— **Pierwszy numer chińskiego Times'a** wyszedł d. 16 Maja w Tientsin.

— **W Bari** w kościele katedralnym odkryto w zamurowanej niszy 2,000 dokumentów bizantyńskich, spisanych na błękitnym pergaminie. Nigdy jeszcze tak bogate archiwum stare, odkrytem nie zostało. Czynną w tymże kościele dalsze poszukiwania, bo przypuszcicie trzeba, że to, co znaleziono, zamurował dla przechowania jakiś kapłan, uciekający z Bizancjum przed Turkami.

OD WYDAWCY.

„*Bluszcz*“ w przyszłym kwartale wychodzi będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyę Marryat.

TREŚĆ. Noc świętojańska, poezya przez Kruczyna. — Kartka z pamiętników poety, (dalszy ciąg), przez Szczęsną. — Bóży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencja zagraniczna, Poznań. — Dawni i nowocześni (dalszy ciąg), przez Ed. Lubowskiego. — Korrespondencja zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — **Kronika działalności kobiecej.** — **Drobne listki.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyę Marryat. — Przegląd mód. — 21 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.